

STRACH W OGRODZIE.

Komedyjka w jednym akcie.

Poświęcona

Ludce Mendelsburg.

O Ś O B Y:

Terenia, *dziewczynka usługująca.*

Hania, *siostra mleczna Józia.*

Piotruś, *chłopiec kredensowy.*

Józio, *uczeń na wakacjach.*

Ogrodnik.

Rzecz dzieje się na wsi.

UWAGA. Dziewczątka mogą być ubrane po wiejsku, lub też skromnie bardzo, spódniczki i kaftaniczki tylko, jak przystoi na dziewczątka, usługujące przy garderobie. Piotrusia można także ubrać jak się podoba: w liberyę, w strój góralczyka, lub w wiejską płótniankę. Józio powinien być w mundurku lub w bluzie uczniowskiej.

Scena przedstawia garderobę, w rogu blisko okna stół prosty, a na nim talerze, noże, widelce i t. p. przedmioty, służące do obiadu, które Terenia zmywa.

SCENA I.

Terenia (sama).

Terenia (*śpiewa*).

Gdybym to ja jadła, piła
I nic nie robiła,
Tobym tak urosła,
Jak na polu sosna.

(*Wzdycha*). Oj dobrzeby to było nic nie robić, ale gdzietam, kiedy do tego przyjdzie! Panna Honorata to i odetchnąć nigdy człowiekowi nie da. Wiecznie krzyczy (*przedrzeźnia głos starszej osoby*): Tereniu, pościeraj kurze! Tereniu, ceruj skarpetki pana Józefa! Tereniu, czemuś nie zmiotła sieni! — i tak dalej, i tak dalej, bez końca, a do tego jeszcze ciągle mnie nazywa próżniakiem, latawcem i gderze bez końca. Jak się dziś dowiedziałam, że ta stara jędza ma jechać do miasta, tom się dopiero ucieszyła,

myśląc, że sobie troszkę odpocznę, ale i to nie (*z komiczną rozpaczą*): Kazała mi wszystkie noże poczyścić i talerze poprzecierać! Gdybym się nie bała, to bym te talerze w drobne kawałki potłukła! (*Rzuca ścierkę na stół i podchodzi do oka*). Jaki silny wiatr się zerwał, co tam gruszek i jabłek opadnie w ogrodzie. Gdyby tak pobiedz choć na chwilę! Ale cóż, brama zamknięta, a pobiedz naokoło i przez mur przeleźć, to dużo czasu zabierze. Klucznica może nadejść i znów bieda; poskarży przed panną Honoratą i w niedzielę, zamiast pójść do matki, będę cały dzień w garderobie siedzieć (*z mocą*): Nie, muszę wpierw skończyć z tem naczyniem, a jak się uwinę, to jeszcze mi czasu zostanie pobiedz do ogrodu (*bierze ścierkę napowrót, z żywością wyciera talerze i noże, nucąc półgłosem*):

Gdybym to ja jadła, piła

I nic nie robiła...

(*Przerywa*). A jednak są takie szczęśliwe, co nic nie robią. Ot Hania, na przykład, cały Boży dzień biega, a że tam z panią czyta pół godziny, tyleż pisze i rachuje, to jeszcze nie wielka robota. Czasem mi pomoże, to prawda, ale taka pomoc a nic, to wszystko jedno. Dzisiaj, to ani się pokaże. Pewnie w ogrodzie pod gruszami, żeby mnie choć gruszeczkę przyniosła. Gdyby nie ten nowy ogrodnik, to i jabym częściej tam zaglądała, ale on taki straszny, wszędzie jest, wszystko widzi. Mówiłam Hani, że jak dużo nazbiera, to niech schowa w starej suszarni, a jak się dobrze ściemni, to obie pójdziemy i łatwo nam

będzie we dwie zabrać cały ten zapas. Ale gdzie tam, ona nigdy dobrej rady nie posłucha. (*Wyciera dalej i nuci*):

Gdybym to ja jadła, piła

I nic nie robiła,

Tobym tak urosła.

Jak na polu sosna.

(*Mówi*): Dośćby było jak jabłotka (*podchodzi do okna rzysłuchuje się*). Zdaje mi się, że słyszę, jak jabłotka spadają. O... bęc! to pewno to wielkie, zielone, ach! jakie one dobre. Ale oto i Hania biegnie, a jaka czerwona! Co jej takiego? Jakby ją kto gonił!

SCENA II.

Terenia, Hania (*wpada zadyszana*).

Hania.

O! dla Boga, jakim się przestraszyła.

Terenia (*ciekawie podchodząc do niej*).

Czego?

Hania.

Bez tchu biegłam, zdawało mi się, że goni za mną!...

Terenia.

Kto? Ogrodnik?

Hania.

A czy ja wiem? może ogrodnik.

Terenia.

Jakże to, nie widziałaś go?

Hania.

Widziałam, ale to nie był ogrodnik.

Terenia.

Więc któż? mówże, bo nic cię nie rozumiem.

Hania.

Byłam w ogrodzie...

Terenia.

Pewnie jabłka i gruszki zbierałaś.

Hania.

A tak, ale i dla ciebie także.

Terenia (*ironicznie*).

Patrzcie, jaka teraz dobra, no, ale mów dalej.

Hania.

Uzbierawszy pełen fartuszek, chciałam je zanieść do starej suszarni, gdzie już wczoraj schowałam pół kopy gruszek.

Terenia.

Widzicie ją, i mnie nic nie powiedziałaś, ty, szkaradna dziewczyno!

Hania (*ze wstydem*).

Dziś chciałam ci powiedzieć...

Terenia.

Bardzo wątpię, czybyś to zrobiła. No, ale mów dalej, bom ciekawa.

Hania.

Zbliżam się więc do suszarni, a tu coś tak krzyknęło, żem się aż zatrzęsła.

Terenia.

Doprawdy? i cóż to było?

Hania.

Ja nie wiem.

Terenia.

Ale tak na przykład, do czego ten krzyk był podobny? Czy tak niby, jakby człowiek krzyknął?

Hania.

Ale gdzie tam!

Terenia.

Może jakby wilk zawył?

Hania.

Może, ale ja wilka słyszałam, to nie tak.

Terenia.

Może jak pies szczeknął?

Hania.

Może, ale żaden z naszych psów tak nie szczeka.

Terenia (*ze wzrastającą ciekawością*).

No, ale przecie powiedz, jak to krzyknęło?

Hania (*chwytając się za głowę*).

Nigdy nie potrafię, to było coś tak strasznego, że jak krzyknęło drugi raz, tak puściłam końce fartuszka, wszystkie jabłka się rozsypały, ja co tchu w nogi, a tu za mną coś zaszeleściło, niby wielki ptak na drzewie.

Terenia (*ciekawie*).

I nic nie widziałaś?

Hania.

Wiesz, że tam o tej porze już ciemnawo, przytem bałam się patrzeć, ale tak ukradkiem spoglądałam za siebie i zobaczyłam...

Terenia.

Co, co? mówże prędzej.

Hania.

Coś strasznego... ogromne, białe, niby skrzydła, miało i niby siedziało na drzewie.

Terenia (*zamysłona*).

Może to taki duży ptak?

Hania.

Co ty mówisz? taki wielki ptak być nie może, a do tego ten krzyk!

Terenia.

Kiedy ja właśnie nie wiem jaki to był krzyk.

Hania.

Ot tak, widzisz, niby człowiek, niby owca. Beee...

Terenia (*tajemniczo*).

Już wiem... (*zbliża się do Hani i mówi prawie szeptem*): To pewnie dusza Macieja, owczarza, co to umarł dwa dni temu.

Hania (*cofa się*).

Co ty mówisz? Czy to być może?

Terenia.

A jakże nie, dopóki Bóg duszy do nieba nie przyjmie, to ona chodzi po ziemi. A że to krzyczało niby człowiek, niby owca, to pewnie Maciej owczarz.

Hania (*z przekonaniem*).

Pewnie dusza Macieja, że też to mnie odrazu na myśl nie przyszło.

Terenia (*z zarożumiałością*).

Bo mało masz jeszcze rozumu, moja Haniu, choć tam niby w książkach czytasz.

Hania.

Tego w książkach niema.

Terenia.

To wielka sztuka, że niema, ty już myślisz, że wszystkie rozумы są w książkach. (*Chwilę stoją obie zamysłone*).

Terenia.

No, ale co teraz będzie z jabłkami?

Hania.

Ja nie wiem, za nic tam nie pójdę, idź ty.

Terenia.

Dobraś, ani myślę... (*chwila milczenia*) a dużo tam jabłek?

Hania (*z westchnieniem*).

O, dużo! będzie z pięćdziesiąt.

Terenia.

Doprawdy... szkoda je tracić.

Hania.

Wiesz co, poprośmy Piotrusia, aby nam je przyniósł, nic mu nie mówiąc, że tam coś straszy.

Terenia.

To dopiero! żeby wszystkie wziął dla siebie, a nam kilka zgnilek przyniósł?

Hania.

A więc, co robić?

Terenia.

Ot lepiej proś pana Józefa, żeby z tobą poszedł.

Hania.

Nie będę śmiała.

Terenia.

A to dlaczego? Jesteś jego mleczną siostrą, bawiliście się razem, taki dobry dla ciebie, i nie będziesz miała odwagi przemówić do niego?

Hania.

Ale kiedy się wstydzę...

Terenia.

Ot i pan ózef idzie, jakby odgadł, że mamy do niego interes.

SCENA III.

Ciż sami i Józio (*z torbą myśliwską w ręce*).

Józio.

Szukam cię wszędzie, Haniu. Trzeba, żebyś mi koniecznie na jutro rano tę torbę naprawiła. Tu ją trzeba zaszyć, tu rzemień przymocować (*wskazuje na torbę*). A wszystko mocno i prędko (*chodzi, zacierając ręce*). Dostałem od ojca strzelbę i to prawdziwą strzelbę, rozumiecie, dziewczęta, i jutro rano idziemy razem na przepiórki. Dał mi ojciec swoją starą torbę, bo zapomniał nową dla mnie kupić, ale na przyszłe wakacje kupi z pewnością, a teraz to i ta mi jeszcze wystarczy. Tylko, Haniu, mocnemi szuj nićmi, żeby się znów nie rozdarła, jak w nią włożyłem ze dwanaście przepiórek.

Hania.

Tak dużo!

Józio.

Co ty sobie myślisz, i dwadzieścia mogę zabić. Przecież umiem strzelać. Z rewolweru wujcia dziecięć razy trafiłem do celu. Ot, gdybym do ciebie wymierzył (*udaje, że mierzy*), tobym ci prawe oko jak nic wystrzelił. (*Hania oko zasłania, Józio się śmieje*). Ona się już boi, doprawdy, oto tchórze z tych dziewcząt! Na widok mojej strzelby, chyba zemdlejesz, muszę ci ją pokazać. Nie odchodźcie, dziewczęta, zaraz tu powrócę.

(*Wybiega*).

SCENA IV.

Terenia, Hania.

Terenia.

Jaki pan Józef odważny, onby się tam nie bał żadnego stracha.

Hania.

Czy i duszy Macieja owczarza?

Terenia.

Och! z pewnością, teraz zwłaszcza, kiedy ma strzelbę.

Hania.

Przecież do duszy strzelać nie będzie?

Terenia.

To prawda, ale zawsze przynajmniej ją nastraszy. Mówię ci, Haniu, jeżeli nie chcesz stracić jabłek, to proś pana Józefa, aby z tobą poszedł, inaczej stracone będą dla nas.

Hania.

Spróbuję.

SCENA V.

Ciż sami i Józio (*ze strzelbą w ręce*).

Józio.

Patrzcie, oto jest moja strzelba. Idąc na polowanie, zarzucam ją sobie na ramię, ot tak, widzicie! (*wykonywa wszystkie te ruchy*). Wtem pies, poczuwszy zwierzynę, staje; zdejmuję ją, odwodzę kurek, przykładam do ramienia, zmrużam lewe oko, celuję i... paf! (*dziewczęta odskakują na bok*). Ha! ha! ha! myślałyście, że nabita (*poważnie*): Z nabitą nigdybym sobie takie-

go żartu nie pozwolił, słyszałem zbyt wiele o smutnych wypadkach, wywołanych żartem i nieuwagą. Zresztą dałem ojcu słowo, że bez jego wiedzy nigdy strzelby nie nabiję. A słowo dane jest rzeczą świętą. Cóż, podoba się wam moja strzelba?

Hania.

Bardzo.

Terenia.

Pan Józef taki odważny.

Józio (*śmiejąc się*).

Toby dopiero ładnie było, gdybym ja, chłopiec, (*poprawia się*) mężczyzna, był tchórzem lub bał się wszystkiego, jak dziewczyna.

Terenia.

Dlatego Hania chciałaby pana prosić...

Hania (*nieśmiało*).

Tak, chciałam prosić.

Józio (*zdziwiony*).

O co prosić chcesz z taką nieśmiałością? Przecież wiesz, Haniu, że, jako twój mleczny brat, zawsze chętnie robię wszystko, o co mnie tylko prosisz.

Hania (*nabierając śmiałości*).

Kiedy to takie trudne.

Józio.

Mów prędzej, potem zobaczymy, czy trudne.

Hania.

Niech Terenia mówi...

Józio.

Zaciekawiacie mnie, wszystko jedno, która ma mówić, bylebyście raz powiedziały, o co rzecz idzie.

Terenia (*tajemniczo*).

Coś straszy w ogrodzie.

Józio (*marszcząc brwi groźnie*).

Straszy?

Hania.

Tak, straszy, ja sama widziałam i słyszałam.

Józio.

Kogo? co?

Hania.

Duszę Macieja owczarza.

Józio (*parska śmiechem*).

Ha! ha! ha! duszę pocziwego, starego Macieja...
Ha! ha! ha! A to zabawne dziewczęta, one duszę widziały ha! ha! ha!

Terenia (*obrażona*).

Niech się pan nie śmieje, bo to szczerą prawdą.

Józio (*ciągle się śmiejąc*).

Żeście duszę widziały?

Terenia.

Nie ja, ale Hania.

Józio (*śmiejąc się ciągle*).

I jakże ta dusza, Haniu, wyglądała?

Hania.

Nie przypatrywałam się jej, bo uciekałam co tchu mi starczyło, ale taka jakaś wielka, biała, niby ze skrzydłami.

Józio.

A to doprawdy ciekawe, i głos wydała?

Hania.

O tak: Beeee...

Józio.

Jak to, jak owca?

Hania.

A tak.

Terenia.

Bo widzi pan, Maciej był owczarzem.

Józio.

Paradne dziewczęta, więc dusza jego od owiec beczyć się nauczyła. O! głowy, głowy, po sto razy niemądre! Czyście już tak naukę katechizmową zapomniały, że nie wiecie, że dusza jest niewidzialna.

Hania i Terenia (*spuszczając oczy*).

To prawda.

Józio.

A zatem jakże wy lub ktokolwiek może duszę zobaczyć lub ją usłyszeć i to beczącą, jak owca?

Hania (*do Tereni*).

Tereniu, mnie się zdaje, że to prawda, co pan Józef mówi.

Terenia (*cicho*).

To w takim razie niech nam pan powie, co tam straszy.

Józio.

No cóż, przekonałem was, że dusza nie może pokazywać się ludziom, a tembardziej wydawać jakichś dźwięków.

Terenia.

A cóż tam straszy?

Józio.

Trzeba się o tem przekonać. Gdzież to straszylło?

Hania.

Koło starej suszarni.

Józio.

Hm! (*do siebie*): Teraz tam zupełny już mrok panuje, nie bardzo bezpiecznie iść samemu, (*głośno*): No, chodźcie ze mną, to zobaczymy.

Terenia (*z pośpiechem*).

Ja muszę poukładać naczynie, nim panna Honorata przyjedzie, a tylko co jej nie widać.

Hania.

A ja za nic nie pójdę.

Józio.

Tchórze. Ja sam iść nie mogę, bo kto wie, czy to nie zakradli się jacyś złodzieje (*z fanfaronadą*): Wprawdzie jednemu, nawet dwom, dałbym radę, ale jeżeli ich jest więcej, to muszę wziąć kogoś z sobą. Zawołajcie mi Piotrusia, tylko prędko!

Terenia.

Ja pobiegnę go szukać do kuchni, a ty, Haniu, idź do kredensu, może ten próżniak wysypia się tam, jak zwykle.

(*Dziewczęta wybiegają.*)

SCENA VI.

J ó z i o (s a m).

Józio (*chodzi po pokoju, chwilami się zatrzymując.*)

To jednak ciekawe, co to być może? Gdyby to rzeczywiście złodzieje się zakradli, to nie wydawaliby jakichś dziwnych głosów, mogących ściągnąć uwagę wszystkich. Przytem o tak wczesnej porze złodzieje nie zakradliby się, co to więc być może? Pewnie ktoś chciał Hanię nastraszyć, ale jak ten ktoś mógł wiedzieć, że ona tam nadejdzie w taki odludny

kąt ogrodu. A może to jaki zwierz dziki?... Jakież ja śmieszny. Gdyby to było w puszczach amerykańskich, w lasach indyjskich, to co innego, ale u nas... chyba wilk, a w ostateczności dzik. Ale wilk wyje, a nie krzyczy beee! dzik tembardziej. Zresztą ona widziała coś białego... Co to być może? W każdym razie strzelbę z sobą wezmę, szkoda, że nie nabita, ale zawsze wymierzę, niech się przynajmniej nastraszy ten ktoś, lub to coś. Piotrusiowi dam duży kij i tak uzbrojeni wyruszmy na wyprawę.

SCENA VII.

Józio, Terenia, Hania (*prawie jednocześnie wchodzą.*)

Terenia.

Niema go w kuchni, wszędzie szukałam.

Hania.

Niema go w kredensie, już go tam od dwóch godzin niewidzieli.

Józio.

Gdzie się ten nicpoń podział?

Terenia i Hania (*z niepokojem.*)

Czy pan bez niego nie pójdzie?

Józio.

Ależ pójdę, pójdę, nawet już idę (*strzelbę na ramię zarzuca i idzie ku drzwiom, ale wnet wraca się*). Ot, wiecie co, chociaż wy tylko dziewczęta i niewielka z was pomoc będzie, jednak i liczba coś znaczy. Uzbróćcie się także i chodźcie ze mną.

Hania (*cicho*).

To chodźmy (*do siebie*): Ucieknę, jak tylko do suszarni będziemy dochodzić.

Terenia.

Jakto, proszę pana, uzbroić się?

Józio.

Weźcie każda jakąś broń, abyście się mogli bronić, gdy kto na was napadnie.

Terenia.

To ja chyba wezmę szczotkę do zamywania.

Hania.

A ja pogrzebacz (*wyciąga pogrzebacz z za pieca*).

Józio (*patrzy na nie z uśmiechem*).

O tak, dobrze, wyglądacie jak żołnierze. Ja jestem waszym dowódcą. (*W chwili, gdy Józio to mó-*

wi, daje się słyszeć krzyk za sceną; dzieci, robiwszy kilka kroków, zatrzymują się).

Józio.

Zdaje mi się, że to głos Piotrusia.

Terenia.

I głos ogrodnika, pewnie go złapał w ogrodzie.

Hania.

Biegnę zobaczyć.

(*W tejże chwili drzwi się otwierają z loskotem i wpada Piotruś w długim, białym prześcieradle, którego jeden koniec przyciska do siebie, włosy ma najeżone, twarz uczernioną, za nim wbiega ogrodnik, dzieci patrzą zdziwione*).

SCENA VIII.

Józio, Terenia, Hania, Piotruś i ogrodnik.

Ogrodnik.

Nie umkniesz mi, łotrze, musi cię spotkać zasłużona kara. (*Chwyta Piotrusia za prześcieradło, ten mu się wyrzuca, puszcza koniec przytrzymywany i kilkanaście jabłek upada na ziemię*).

Hania (*z przerażeniem półgłosem*).

Moje jabłka!

Piotruś (*szamocąc się z ogrodnikiem*).

To nie ja je zbierałem.

Ogrodnik.

Chcesz jeszcze kłamstwem swoją winę zwiększyć?

Piotruś.

Nie kłamię, prawdę mówię, te jabłka Hania zbierała i do suszarni schowała.

Ogrodnik i Józio (*patrzą na Hanię i mówią razem*).

Jakto, to ty, Haniu?

Hania (*oczy w dół spuszcza i nie odpowiada, Terenia także jest zmieszana*).

Ogrodnik (*do Piotrusia*).

Ale co znaczy to dziwaczne przebranie twoje, ta twarz uczerniona, włosy najeżone?

Piotruś.

Chciałem nastraszyć Hanię, która, jak dostrzegłem, od kilku dni zbiera owoce w ogrodzie i do starej suszarni je chowa.

Józio (*śmiejąc się*).

Teraz jestem w domu, oto więc jest strach, od którego tak uciekałaś, owa dusza Macieja owczarza, krzycząca beeee...

Ogrodnik (*surowo*).

Tak, paniczu, bo kto złe broi, to wszystkiego się lęka.

Hania (*placze*).

Terenia mnie namówiła.

Terenia.

Nieprawda, nic nie wiedziałam, że ty jabłka do suszarni składasz.

Piotruś (*wskazując na nie*).

One się jeszcze pokłóca.

Józio (*głosem pojednawczym*).

Cicho, dziewczęta, nie kłóćcie się.

Ogrodnik.

Mniejsza o to, która z was winna, wszystko troje przed państwem oskarżę, a wtenczas zobaczemy. (*Dzieci przestraszone patrzą błagalnie na Józia*).

Józio (*przystępuje do ogrodnika, kładzie mu rękę na ramieniu i mówi z przymileniem*):

Panie ogrodniku, nie bądźcie tak surowi i przebaczone na ten raz winnym. Proszę was o to bardzo pięknie.

Ogrodnik (*udobruchany*).

Kiedy pan Józef prosi... ha! cóż mam robić, na ten raz jeszcze przebaczone, ale musicie mi przyrzec, że będziecie się powstrzymywać od łakomstwa. Gdy bardzo zapragniecie jabłek lub gruszek, poproście mnie grzecznie, a nigdy wam nie odmówię, sami tylko nie bierzcie, bo taki czyn bardzo jest zbliżony do... kradzieży. Ty zaś, Piotrusiu, nie strasz nigdy drugich, bo to niepoczciwie. No, cóż dzieci, obiecujecie poprawę?

Dzieci (*jednogłośnie i wesole*).

Obiecujemy, obiecujemy!

Ogrodnik.

Chodźcie więc, poczęstuję was... tabaczką... (*sznoka tabakierki w kieszeni*).

Dzieci.

Tabaczką?

Ogrodnik.

A potem jabłuszkami (*częstuje tabaczką*).

Dzieci (*razem, kłaniając się*).

Dziękujemy, ale wolimy jabłka!

Ogrodnik.

No, kiedyście tacy wybredni, to chodźcie na owe upragnione jabłka, tylko pamiętajcie nigdy nie wierzyć w strachy i przeszkody. A teraz, marsz za mną!

(*Dzieci stają parami, ogrodnik na czele, chłopczyki naśladują bębnienie dobosza i, maszerując zgodnie, wychodzą za scenę*).

(KURTYNA ZAPADA).